Rok 1935. 1 września Nr. 36

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO”
Pod redakcją Eli Oleskiej.

I ja także będę druchną....

Zazdrosnem okiem spoglądała ośmioletnia Joasia na swą starszą siostrę, gdy ta wdziewała odświętny strój krakowski, czyli jak go nazywała — mundurek, w którym zawsze wybierała się na jakąś uroczystość organizacji.

— A dlaczego ja nie należę? — pytała.

— Bo na to aby należeć do K. S. M. trzeba mieć odpowiednie lata i ukończyć szkołę — odparła Stasia.

— To ja tyle czasu jeszcze muszę czekać?

— Ano, skoro idziesz teraz do klasy trzeciej, to do skończenia siódmej upłynie lat pięć. Wtedy dopiero będziesz mogła zostać druchną.

— A jabym już tak chciała nią być, maszerować ze wszystkiemi w oddziale, albo sztandar nieść na przedzie.

Uśmiechnęła się na to Stacha.

— Nie myśl, że tylko tyle obowiązków ciąży na każdej z nas.

— No, a jakie wy macie obowiązki?

— Dużo by trzeba mówić, gdyby ci się miało wszystko wytómaczyć. Na to nie mam czasu, bo wkrótce muszę iść na zebranie, a powtóre jesteś jeszcze zamałą, aby wszystko zrozumieć.

— No to mi przynajmniej powiedz, ale tak, abym zapamiętała, dlaczego wy nazywacie się K. S. M., a jak się z sobą spotkacie, zawsze mówicie „Sprawie służ!“

— A więc uważaj: K. S. M. to jest skrócona nazwa naszej organizacji, a znaczy Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Ponieważ zaś są oddziały chłopców i dziewcząt, przeto dodaje się jeszcze na końcu, kiedy trzeba, literę M, co znaczy stowarzyszenie męskie albo Ż — żeńskie.

— Z pewnością nie zapomnę tego — zapewniła Joasia, klasnąwszy w dłonie. — Ale jeszcze tamto drugie!

— Nie tak łatwo załatwiać się z tem pokrótce — odparła Stacha poważnie. — Zapamiętaj sobie przynajmniej jedno, że „sprawą“ u nas nazywa się wszystko, co dobre, szlachetne, piękne. I temu właśnie obowiązane jesteśmy służyć, rozumiesz?

Joasia poruszyła ramionami i odparła półgłosem: — Niby rozumiem, ale... Niby jakto wy macie służyć, kiedy... — i urwała.

Stasia zaśmiała się w głos: — Ty, jak słyszysz słowa „służyć“, „służba“, wyobrażasz sobie zaraz jakąś sługę, którą się najęło do roboty i której płaci się każdego miesiąca, albo co roku.

— No tak, a wam przecież nikt nie płaci za nic — bąknęła Joasia nieco zawstydzona.

— Bo to jest zupełnie inna służba — zaczęła Stacha nanowo z zapałem. — Do takiej służby obowiązany jest właściwie każdy człowiek na świecie, bo na to go Pan Bóg stworzył, aby przyczyniał się do dobra ogólnego.

— A cóż wy takiego robić możecie?

Stasia westchnęła. — Zapewne, że niewiele, bośmy tylko dziewczęta młode, nieudolne. Ale przecież mimo to, wszystkie K. S. M. pracują pożytecznie.

— No powiedz, powiedz, jak?

— Rozmaicie.

To starają się, by w ich wiosce nie było analfabetów, t. j. nieumiejących czytać; tó urządzają zajmujące odczyty, piękne przedstawienia, święcą ważne rocznice narodowe, które oświecają ludność; to uczą się gotowania, szycia i t. p., aby móc być pomocą rodzinie; opiekują się jakąś sierotą, lub starcem niedołężnym; starają się służyć wszystkim radą, pociechą, pomocą; to znowu zajmują się uprawą jakiejś pożytecznej rośliny, lub hodowlą zwierzęcia domowego, a potem biorą udział w konkursach i nawet zdobywają nagrody.

— No i jeszcze, jeszcze co? — nalegała Joasia wpatrzona w swą siostrę-druchnę.

— Wszystkiego wyliczyć nie mogę, bo to przecież różnie bywa. Ale ponad wszystkiem obowiązuje nas to, byśmy nigdy i w niczem nie dawały złego przykładu, lecz naodwrót. I to jest może najtrudniejsze — dokończyła Stacha, spuszczając skromnie głowę.

Tymczasem Joasia rzuciła się już ku niej z uściskiem, wołając: — O, tak, moja kochana siostrzyczka zawsze przyświeca mi dobrym przykładem. Przecież ja tylko od ciebie nauczyłam się trzymać w porządku swoje książki i zeszyty!

— No, to jeszcze niedużo — zaśmiała się Stacha.

— Teraz to jeszcze niedużo, ale przecież mam jeszcze pięć lat przed sobą.

— I wstąpisz potem do K. S. M.?

— Naturalnie, bo ja chcę być także druchną i służyć sprawie, jak ty, i jeszcze...— Zamilkła naraz, oblewając się rumieńcem.

— No, dokończ, niechże się dowiem wszystkiego — przytuliła siostrę Stacha.

— I nosić sztandar, taki śliczny, biało-niebieski sztandar z Matką Boską i Orłem polskim — wyszeptała wzruszonym głosem dziewczynka.

Serdeczny pocałunek spoczął na czole przyszłej druchny i zakończył rozmowę dwu sióstr. *E. O.*

Jak wyglądała wieś na polskiej ziemi
przed 2500 laty.

Wiadomo, że w tym celu, by się przekonać, co się działo na naszej ziemi przed wiekami, uczeni rozkopują pewne miejscowości, gdzie tylko natrafią na jakieś ślady bardzo dawnej przeszłości. Najwięcej powiedziały im zwykle odnalezione groby zprzed wielu stuleci dobrze zachowane w ziemi, a pełne różnych przedmiotów, których człowiek tego czasu używał. Na ich podstawie można się dowiedzieć, czy mieszkał w danej okolicy człowiek dziki, czy już ucywilizowany. Oczywiście nas musi ciekawić życie naszych dawnych przodków, którzy żyli na tejsamej ziemi przed tysiącami lat. By-

li to Słowianie jeszcze pogańscy, którzy budowali sobie osady często na bagnach, wbijając w ziemię pale dla ułożenia podstawy mieszkań. Otóż niekiedy kopiąc głęboko w pewnych okolicach Polski, natrafia się na takie ślady.

Teraz uczeni całego świata z ogromnem zaciekawieniem oglądają wykopaliska w okolicach Żnina w Wielkopolsce. Oto wyprawa naukowa Uniwersytetu poznańskiego pod kierunkiem znawcy pradziejów, prof. Kostrzewskiego, odsłoniła tam osadę z czasów przedhistorycznych Słowiańszczyzny na półwyspie jeziora Biskupińskiego. Z całej Europy uczeni zjeżdżają się tam, by badać bliżej to jedyne dotychczas odkrycie tego rodzaju osiedla ludzkiego na bagnach zprzed 25 wieków, a więc na kilka stuleci jeszcze przed Chrystusem. Jest to okolica malownicza, pełna historycznych wspomnień, bo jezioro to leży blisko Gąsawy, niedaleko Gniezna, stanowiącego kolebkę naszej polskiej historji. Pełno tam w tej chwili gości z różnych stron Rzeczypospolitej, przybywających autami podziwiać taki dziw nad dziwy, który nam powiada, jak wyglądała w polskiej ziemi wieś lat temu może 2500. Otóż jeden z podróżnych, p. Bechczyc-Rudnicki opowiada, co tam zastał.

Rzuca się przedewszystkiem w oczy planowość, z jaką już w owych odległych czasach budowali swą osadę nasi przodkowie prasłowiańscy. Równe rzędy obszernych domów ciasno stłoczonych dla jak najlepszego wyzyskania przestrzeni, przedzielone są ulicami prostemi, które wymoszczono belkami na podkładzie z faszyny, to jest chróstu układanego wiązkami. Poza tem całe osiedle jest niejako opasane ulicą okrężną, na którą wychodzą wyloty tych wszystkich ulic poprzecznych, dokładnie równoległych do siebie. Co ciekawsze, że odległości pomiędzy owemi przecznicami wszędzie są jednakowe i żadna chałupa nie wystaje poza linję budowlaną ani o cal.

Tego rodzaju celowość w rozplanowaniu osiedla świadczy wyraźnie o istnieniu w niem w chwili jego zakładania silnej władzy, do której rozkazów ludność stosowała się bezwzględnie. Ponieważ wiemy, że w owych zamierzchłych czasach prasłowianie żyli rodami, więc na czele takiego osiedla stał zapewne starosta rodowy wybrany przez starszyznę, która stanowiła przy nim radę. A władza tego starosty musiała być znaczna, skoro czasy owe niespokojne zmusiły go do przeniesienia mieszkania swoich ludzi właśnie na taki, jak tu, bagnisty ostrów.

Zwykle już taka wyspa, czy raczej półwysep, stanowi z natury samej warownię, strzeżoną z trzech stron wodami jeziora, a z czwartej trzęsawiskiem, które dziś przedstawia się nam jako torfowisko. Inne rody w tymsamym czasie sypały wielkie grodziska obronne. Tymczasem założyciele odkopanego obecnie na ostrowie jeziora Biskupińskiego osiedla bagiennego nie zadowolili się tą naturalną obronnością, wynikającą z położenia wpośród wody.

Wznieśli oni, jak z wykopalisk świetnie widać, jeszcze dokoła ostrowu potężny wał. Ażeby się ziemia tego wału nie osypała, budowali najpierw wielkie skrzynie prostokątne z belek, kładzionych na węgieł, wzmacniając je nadto po bokach gęsto słupami pionowemi i okładając jeszcze ciężkiemi kamieniami polnemi, następnie zaś wypełniając owe skrzynie mocno ubitą ziemią, którą na ostrów przywozili na tratwach w skórzanych worach. Mało tego. Znajdujemy tam dalej ochronę od naporu wody, dziś nazywaną falochronem. Ciekawie złożono go z 3 rzędów grubych słupów wbitych ukośno w dno jeziora, a między niemi ułożono belki poziome.

Tego rodzaju stromy parkan nietylko chronił wybrzeże przed falami jeziora, lecz nadto utrudniał dostęp wrogowi do okopu, zpoza którego miesz-

kańcy osiedla miotali w napastnika głazy, strzały zatrute, lub spychali go dzidą, a był to drążony róg jeleni osadzony mocno na żerdzi.

Tak dzięki warunkom naturalnym i sztuce budowlanej obwarowana osada była właściwie nie do zdobycia przy ówczesnych sposobach oblężenia. Można ją było brać głodem po wyczerpaniu się nagromadzonego na wyspie pożywienia, ale zazwyczaj czekać tak długo na poddanie się mieszkańców nie chciano i uciekano się do innego jeszcze sposobu niezawodnego. Oto zza wału ochronnego wysoko sterczały tu strome strzechy ciasno stłoczonych domów. Strzała omotana pakułami maczanemi w łoju lub żywicy, gdy padła niosąc płomień na najbliższą strzechę, wzniecała pożar łatwo, a jeśli się do tego jeszcze wybrało odpowiednie miejsce, by wiatr dął w kierunku osiedla, niebawem wszystkie chałupy stawały się pastwą ognia wraz z nagromadzonemi zapasami.

Toteż osada w Biskupinie bywała nieraz nawiedzana pożarami. Czy wzniecał je wróg, czy tylko spowodowała je nieostrożność mieszkańców, niepodobna odgadnąć teraz, lecz ślady niszczących płomieni są dziś zupełnie na wykopaliskach wyraźne, zachowały się nadpalone belki domów i ulic, gdyż nasiąknięte wilgocią od bagna, na którem spoczywały, zaledwie się zwęgliły. Pożary jednak nie zmusiły mieszkańców do opuszczenia tego osiedla. Wznosili oni na pogorzelisku nowe budynki. Dotychczas przy odkopywaniu udało się stwierdzić istnienie przynajmniej trzech pokoleń domów budowanych kolejno na pozostałościach dawniejszych. Nawiedziła natomiast osiedle inna jeszcze klęska. To powódź. Jej wodom właśnie uległo osiedle przed 25 wiekami.

Interesujące dziś uczonych polskich i zagranicznych wykopaliska w Biskupinie przekonywują nas dowodnie, że nasi wrogowie oczerniali praojców narodu polskiego, uważając ich za dzikusów. Ludzie bowiem, którzy tutaj na 600 czy 700 lat przed Chrystusem mieszkali, a byli naszymi dalekimi przodkami, jak się okazuje, poziomem swojej kultury dorównywali najbardziej kulturalnym narodom im współczesnym, a pod niejednym względem nawet przewyższali. To nam mówią te wykopaliska na ziemi wielkopolskiej.

Rolnikami musieli być już od wieków. Dowodzi tego obfitość i rozmaitość gatunków zbóż. Uprawiać musieli niwy obszerne. Znaleziono ziarna pszenicy, żyta, jęczmienia, prosa i maku, talerze płaskie do wypieku podpłomyków, włókna lnu, ciężarki tkackie, przęśliki, igły i szydła; cedzidła gliniane i drewniane mątewki zaś świadczą, że już wyrabiali białe sery. Odkopano kości konia, krowy, owcy, kozy i świni, więc hodowla ich była rozwinięta. Jest i koło od wozu. Są formy odlewnicze i niektóre wyroby metalowe miejscowej roboty. Naczynia gliniane zachwycają kształtem, rysunkiem i wypaleniem.

Już gdyby nie to wszystko, o ich wyższej kulturze mówiłby sposób doskonałego budowania warowni. Domy mieli obszerne, 7x9 m., o konstrukcji łątkowej, przy której belki poziome zaciosane na końcach, wpuszczane są w rowki wybite dłutem w słupach narożnych oraz płasko ciosanych słupach pośrednich. Było to dostosowane znakomicie do terenu bagnistego, by ciężar ścian rozkładał się na liczne słupy.

